

## Pasma Orawsko-Podhalańskie

Bukowiński Wierch, Żeleźnica

15.03.2025

Wyjazd marcowy, choć kalendarzowo przedwiosenny, niósł ze sobą aurę nieco jeszcze zimową — przynajmniej z rana, gdy zaspani białym, wnikającym we wszystkie niezabezpieczone szpary w odzieży białym i zimnym paskudztwem, otuleni w kurtki i wszelkiego rodzaju ochraniacze, wsiedliśmy do busa o godzinie 6.30. Kierunek? Pasma Orawsko-Podhalańskie, które z racji swej mało znanej, acz urokliwej natury, śmiało mogłoby służyć za scenografię do ballady o nieodkrytych połaciach polskich gór. Region ten to nie tylko geografia – to historia przemieszanych granic i tożsamości. Tu krzyżowały się wpływy polskie, słowackie i węgierskie, co do dziś odbija się w lokalnej architekturze, gwarze, a nawet kuchni. Niewielu turystów zapuszcza się w te strony, a szkoda – bo Pasma Orawsko-Podhalańskie, choć może nie tak wysokie jak Pradziad czy Tatry, ma w sobie coś z górskiego filozofa. Nie imponuje wzrostem, ale mówi wiele – ciszą lasu, śpiewem ptaków i opowieścią, którą trzeba odkryć krok po kroku.

Nasza przygoda rozpoczęła się w Bukowinie-Osiedlu, miejscu może nie będącym stolicą turystyki, ale za to pyszniącym się spokojem i przestrzenią, które gdzieś między domostwami dają się odczuć jako preludium do górskiej wędrówki. Pierwszy cel: Bukowiński Wierch – niby niepozorny, a jednak z charakterem. Wznosi się na około 1000 m n.p.m., tworząc jeden z bardziej wyrazistych punktów północnego skraju Pasma Orawsko-Podhalańskiego. Warto dodać, że całe to pasmo to coś w rodzaju górskiej przystawki między głównym daniem Gorców a wybujałym tortem Tatr. Jest to część Pogórza Spisko-Gubałowskiego, które zaskakuje mozaiką kultur – bo oto na południu od tego pasma zaczyna się Orawa, z silnymi wpływami węgierskimi, a na północ – Podhale, z jego roztańczonymi ciupagami i śpiewnym „hej!”. Bukowiński Wierch przywitałby nas panoramą, której nie powstydziliby się nawet bardziej znany szczyt. Z jednej strony majaczyłyby Tatry, jeszcze przyprószone marcowym śniegiem, z drugiej — szeroka dolina Dunajca, jakby kłaniająca się Beskidom. Byłoby tak, gdyby było cokolwiek widać. Jednakże widoczność z powodu syjącego śniegu była niemalże zerowa, niestety — co tylko dodało wyprawie szlachetnej nuty dramatyzmu. Oł, natura postanowiła urządzić nam mały pokaz sił, przypominając, że marzec w

górach to taki miesiąc-widmo: niby wiosna, ale jednak z zimą jeszcze tańczy. Śnieg sypał poziomo, pionowo, a momentami nawet zdawało się, że spiralnie — jakby sam wiatr nie mógł się zdecydować, z której strony nas zaskoczyć. . Pejzaż mleczny, impresjonistyczny, z cyklu „szukaj wiatru w śniegu”.

Miejscami człowiek widział tylko własne buty, a i to nie zawsze. Nie przeszkodziło to jednak wędrować dalej — może trochę wolniej, bardziej z namysłem, z szacunkiem dla nieprzewidywalności gór. Żeleźnica w takich warunkach wydała się wręcz mityczna — jej sylwetka majaczyła we mgle jak zjawą z góralskiej baśni, której końca nikt nigdy nie dopisał. Ślady na śniegu szybko znikwały, jakby ktoś za nami zacierał dowody naszej obecności. A cisza... o, ta była absolutna — tylko chrzęst raków na złodzionym fragmencie szlaku i okazjonalne „gdzie ten cholerny szlak?!”. Na Przełęcz Sieniawską zeszliśmy już mocno przemoczeni, z oblepionymi śniegiem kapturami, wyglądając jak strachy na bardzo wytrzymałe wróble wyłaniające się z zamieci. Strachy, nie wróble :) Ale, jak to mówią starzy górale: „Jak nie widzisz nic, to widzisz najwięcej — siebie”. Z tej perspektywy to była wycieczka nie do podziwiania widoków, ale do kontemplacji — własnych granic, odporności na chłód i tego dziwnego uporu, który każe iść dalej, choć cały świat zdaje się mówić „odpuść, durniu i zawróć”. I dobrze. Bo w takich dniach rodzą się najbarwniejsze wspomnienia — nie z pocztówek, lecz z mgły i śniegu.